

Arsenał Pamięci

2014

*Zazwyczaj widmo
śmierci sprawia,
że bardziej szanujemy
życie.*

~ Paulo Coelho

**Pracę napisała Paulina Gara
z klasy Ic**

**z XXV Liceum Ogólnokształcącego im. Stefana Żeromskiego w
Łodzi**

**pod opieką Pani
Doroty Spychały**

Dzisiejsze czasy bardzo odbiegają od realiów dzieciństwa naszych dziadków, niewątpliwie jest nam łatwiej, zmagamy się z kompletnie innymi problemami. Nie bardzo chcemy również słuchać o tym, z jakimi przeciwnościami musieli zmagać się nasi bliscy; nie mamy na to czasu, nie interesuje nas to. Nie jest to żadnym usprawiedliwieniem, wręcz przeciwnie – dowodzi to, jak bardzo egoistycznym pokoleniem jesteśmy. Czy my, ludzie urodzeni u schyłku XX wieku, potrafilibyśmy mieć tyle odwagi, hartu ducha, ofiarności, co nasi dziadkowie w czasie wojny? Mam nadzieję, że nigdy nie będziemy musieli przekonać się o tym „na własnej skórze”, jednak myślę, że nasz egocentryzm nie jest powodem do dumy, a przekazywane opowieści babci czy dziadka docenia się najbardziej wtedy, kiedy nie ma ich już wśród nas. Czy więc wspomnienia, historie zachowane jedynie w pamięci najbliższych nie powinny być pielęgnowane i przekazywane następnym pokoleniom? Więc kiedy mam chwilę czasu, a moja babcia ochotę na przypominanie sobie (niekoniecznie wesołych i przyjemnych dla niej) opowieści staram się jak najwięcej zapamiętać i próbuję wyobrazić sobie tamte tragiczne czasy.

„Drogą jechali żołnierze na koniach, a ojciec powiedział, że wojna... że wojna się szykuje” – oto pierwsze nasuwające się wspomnienie mojej babci. Nie pamięta ona wiele, miała zaledwie pięć lat, gdy rozpoczęła się II wojna światowa, ale to, co zostało w jej pamięci (często poprzez wielokrotne wspomnienia bliskich i najbliższych) i tak budzi we mnie wiele emocji.

„Pamiętam, że niedaleko nas spadła bomba, naprawdę niewiele brakowało, a po

naszym domu nie byłoby co zbierać... Ludzie przychodzili i oglądali wielki dół i odłamki, które rozpięzchły się po całym polu”.

Zachęcam babcię, żeby mówiła dalej, choć nie chcę wyciągać tego z Niej na siłę, widzę, że mimo iż się uśmiecha, Jej oczy są smutne i wydają się być zachmurzone, zupełnie tak, jakby przeniosła się w czasie, więc nie nalegam i czekam aż sama podejmie rozmowę.

„Niedługo potem nas wysiedlili, przez Legacz (wieś położoną ok. 60 km od Warszawy) miał przebiegać front. Zabraliśmy ze sobą to co najpotrzebniejsze, a rodzice najcenniejsze rzeczy zakopali w skrzynce... Niestety, Niemcy i tak to odnaleźli, a komunijna sukienka siostry Zosi posłużyła na bandażę dla rannych...

Ale..., wracając do tego wysiedlenia... . Ojciec miał kolegę, przyjaciela, który mieszkał za Stanisławowem, za cmentarzem, daleko. No i tam pojechaliśmy. Przez dwa tygodnie mieszkaliśmy w stodole, rodzice nie pozwalali nam wychodzić, jedliśmy tylko ziemniaki z mlekiem. Raz ziemniaki z kwaśnym mlekiem, raz ze słodkim, tak na przemian żeby nam się nie znudziło – tutaj uśmiech się pojawił nie tylko na ustach, ale również w oczach babci jakby coś błysnęło, myślę, że perspektywa jedzenia tylko dwóch rzeczy przez 14 dni, wydała się jej dość absurdalna, ale jednocześnie zabawna – czasami udało nam się wybiec na chwilę z dziećmi, ale tylko na chwilę, bo potem od razu rodzice wołali nas do środka.

Za jakiś czas doszły do nas wieści o wkroczeniu Rosjan, a razem z tym nadzieje, że koniec wojny jest bliski. Niedługo potem, mogliśmy wracać do siebie, do domu. Kiedy już planowaliśmy powrót, zdarzyło się coś, co zapamiętałam doskonale. Do drzwi zaczął dobijać się rosyjski żołnierz, krzycząc (zapisując to po polsku) „Otwieraj, job twoju mać”. Przez wiele lat uczyłam się potem w szkole tego języka i, prawdę mówiąc, niewiele z tej nauki pamiętam, ale to jedno zdanie zapamiętałam bardzo dobrze. Nikt nie chciał podejść do drzwi,

szukał on z pewnością niemieckiego żołnierza, którego ukrywał przyjaciel ojca. W końcu jednak otworzyła jego córka, ale żołnierz i tak go nie znalazł.



Babcia Kazia (po lewej) i jej siostra Jasia

Wkrótce wzięliśmy nasze rzeczy na wóz i pożegnawszy się z rodziną, u której się schroniliśmy, chcieliśmy odjechać. Wtedy zdarzyła się kolejna rzecz,

coś, o czym trudno zapomnieć. Widocznie Rosjanin odnalazł tego, kogo szukał. Jednak Niemiec starał się uciec, niestety, nie udało mu się. Został zastrzelony. Był to straszny widok, szczególnie, że wyjeżdżając ze wsi, minęliśmy go przy drodze... Ale tak to było, mało co było przyjemne. Człowiek już się oswoił ze złem i ludzką tragedią”.

Widzę, że to chyba za dużo jak na możliwości staruszki, że chyba na tym skończy się jej opowieść, ale ona kontynuuje, a przerwa wydaje się być jedynie potrzebna po to, by zastanowiła się, jakie wspomnienie przywołać.

„Cały Stanisławów był żydowski. Znajdowało się tam mnóstwo małych sklepików, a w nich najprzeróżniejsze rzeczy, na które to zazwyczaj nie miało się pieniędzy. Ale to nie przeszkadzało, by chodzić do sklepików i „podziwiać” te wszystkie cuda - barwiony i słodzony krochmal, esencję octową. Któregoś dnia w lecie padał tam śnieg. Tak, śnieg. Wracalam ze szkoły i cały Stanisławów był biały, wszystko wyglądało tak jakby zwyczajnie padał śnieg. Potem dowiedziałam się, że to Niemcy przeszukiwali domy, szczególnie szukali w kołdrach, poduszkach; przetrząsali całą pościel w poszukiwaniu cennych rzeczy... Nie wiadomo, może niemało znaleźli? Potem sklepy pozamykali, a Żydów zabrali... Nikt nie wiedział, co się z nimi stało.”

Chyba tak naprawdę obie wiemy, albo przynajmniej domyślamy się, dokąd trafili, ale nie chcemy tej myśli do siebie dopuścić, bo oficjalny brak informacji, daje jakieś nadzieje...

„We wsi stacjonowali Rosjanie. Jak wróciliśmy do domu, to nic w nim nie było, wszystko wytłukli, a co cenniejsze rzeczy pozabierali. Straszne świnie z nich były. Na piecu, takim kamiennym, gdzie na dole piekło się chleb, zwyczajnie srali – i... od razu przeniosła zawstydzona wzrok na mnie, jakby pomyślała sobie, jak mogła coś równie gorszącego powiedzieć w obecności swojej małej, szesnastoletniej wnusi – to znaczy... załatwiali się. Pamiętam też

jak byłam mała i we wsi był niemiecki żołnierz... Rozmawiał z moją mamą, a potem ukląkł na jedno kolano i dał mi coś czarnego, taką kostkę jakby węgla i powiedział, żebym spróbowała. Popatrzyłam na mamę niepewna co mam zrobić, ale ona pokiwała aprobowująco głową. Tak właśnie spróbowałam po raz pierwszy... czekolady!” Znowu chwila na zebranie myśli dla mojej babci, a dla mnie chwila na oddech... Nie spodziewałam się, że tak duże emocje wzbudzą we mnie te opowieści...

„Wszędzie było dużo trupów. Nikt specjalnie nie dbał o pochówek tych ludzi, leżeli gdzieś w dołach, niezakopani, zostawieni w tym, w czym zostali zabici. Chodziłam do szkoły i widziałam jak z rowu przy drodze wystawały tylko buty, już nie tyle na nogach, co kościach powleczonej skórą. Chłopaki to nawet podbiegali, dotykali, a ci najodważniejsi zdejmowali obuwie, ale ja się bałam...”

Babcia była już starsza, miała około 9 może 10 lat, więc inaczej na to patrzyła, chyba mniej emocji wzbudzały te makabryczne widoki niż na samym początku wojny. Mimo wszystko są to gorzkie wspomnienia, więc szybko przechodzi do innej opowieści...

„Kiedy jeszcze mieszailiśmy u przyjaciela ojca, mężczyźni z wiosek co jakiś czas chodzili do Stanisławowa po najnowsze wieści. Strasznie zniszczone było to miasteczko, wojna całkowicie zmarnowała wszystko, dużo domów, sklepów, budynków gospodarczych było popalonych. Rosjanie starali się za wszelką cenę spalić tamtejszy kościół... Niejeden raz ojciec przychodził i donosił o kolejnej nieudanej próbie jego zniszczenia. Pewnego razu, jednak im się udało. Oblali go dookoła benzyną i podpalili. Płonął. Palił się długo, ale krzyż wiszący nad wejściem nie spalił się, płonął, ale nie spłonął...”

To kolejna rzecz, którą uświadomiła mi rozmowa z babcią, zrozumiałam, dlaczego religia jest dla Niej tak ważna, dlaczego nie może zrozumieć, jak ja

mogłam od niej odstąpić... Ale na przemyślenia nie zostawia mi dużo czasu, tylko kontynuuje:

„Niedaleko u rodziny było duże gospodarstwo. Mieszkały tam dzieci w moim wieku i często z rodzicami i rodzeństwem pomagaliśmy im. To było wtedy normalne, że bez żadnych próśb czy oczekiwań szło się i pomagało. Pracował tam taki chłopak, który był Żydem. Ale ten gospodarz, dobry człowiek, nie traktował go gorzej, nie jak jakiegoś parobka; zachowywał się wobec niego jak ojciec, do tej pory dobrze wspominam wspólne posiłki po zakończonej pracy. O tym chłopaku jest nawet wzmianka w tej książce „Cichociemni”, nieduża, ale jest. Przechowywał on broń w stodole, a w lesie pomagał oddziałowi partyzantki. Niestety, potem wywieziono go chyba do Oświęcimia”...

„Była też taka polska rodzina, do której moja siostra, żeby trochę zarobić, zanosila jajka, mleko. Niewątpliwie można o niej powiedzieć - cwani ludzie. Mieli dwóch synów i ten jeden mieszkał i pracował w Warszawie, a drugi przebywał z nimi. Tamten w jakiś sposób załatwiał na lewo włóczkę. To była „perła”, do tej pory pamiętam jak wyglądała, nie udało mi się potem dostać takiej w Łodzi. Kiedyś tamta pani poprosiła moją mamę, żeby przechowała jej tę włóczkę, ponieważ bała się kontroli Niemców... Moja mama ją wzięła, schowała, ale potem Rosjanie i tak wszystko znaleźli, kiedy my byliśmy wysiedleni. Ale nie o tym chciałam powiedzieć. Tak ja mówiłam, byli bardzo cwani, a ten gospodarz zawsze potrafił znaleźć „haka” na każdego. Tak szantażował Żydów. Często brał kilku, nie wiem jakim sposobem, ale doprowadzał ich pod las i zabijał strzałem w głowę. Potem zabierał różne rzeczy, te cenne i te mniej wartościowe, a jak wiadomo, w tamtych czasach, kiedy wszystkiego brakowało, każda rzecz była „skarbem”. Tak więc nawet kalesony zabierał. A potem sprzedawał to ludziom. Moja mama nigdy nic nie kupiła od nich, bo wiedziała skąd to mają. Każdy sobie jakoś radził..., ale czy można było w ten sposób?”

Na tym kończy się opowieść babci, mówi mi, że raczej nic więcej nie pamięta, ale gdy Jej się coś przypomni, to jeszcze mi opowie. Jednak ja jestem wdzięczna za to, co już mi przekazała. Nie jest to ani historia żołnierza walczącego na froncie, ani „cichociemnego” działającego w podziemiu, ani nikogo, kto trafiłby do obozu koncentracyjnego – na szczęście nie jest. Jest to opowieść z punktu widzenia małej dziewczynki, która patrząc na to, co się działo oczami dziecka, widziała zdecydowanie inną rzeczywistość niż tę, którą chciałyby lub powinna była widzieć.



Pradziadkowie - rodzice babci

Moje refleksje

Takie rozmowy nie są łatwe. Często bywają rozdrapywaniem ran. Niewątpliwie niełatwe jest przypominanie sobie tak okrutnej rzeczywistości związanej z widokiem zwłok, ukrywaniem się, ciągłą niepewnością jutra, wszechobecnym strachem? Na pewno - nie. Nie ma w tym nic humanitarnego i budującego. Trzeba umieć słuchać i dać babciom i dziadkom możliwość opowiedzenia nawet tych najbardziej tragicznych wydarzeń, wyrzucenia tego, co gryzie, a o czym chciałoby się zapomnieć.

Moja babcia często wspomina czasy swojego dzieciństwa. Czasy wojny i te po niej. Jej życie było ciężkie, a właśnie możliwość podzielenia się swoimi wspomnieniami ze mną jest, z jednej strony „powrotem” do trudnych chwil, a z drugiej, daje babci radość z tego, że młode pokolenie jest ciekawe historii, i to historii tak jednostkowych i mało bohaterskich. Więc dlaczego nie miałabym podarować Jej chwili czasu? Moja babcia ma tylko jednego syna, który ma dla Niej jeszcze mniej czasu ode mnie i tylko jedną wnuczkę, więc czuję zwyczajny obowiązek (już nie mówię o tym, że sama przecież też dużo uczę się z naszych rozmów) podarowania jej trochę „siebie” za te lata opieki nade mną i pomocy w wychowaniu. Nie ma chyba nic cenniejszego w obecnych czasach, nawet pieniądze tracą na wartości w porównaniu z nim – czasem. Nie chodzi mi absolutnie o to, że jestem tak wspaniała, tak wspaniałomyślna i „daję” babci swój czas, w którym Ona do mnie mówi, a ja nie słucham i udaję, że mnie to interesuje. Nie chodzi mi o to, również bywam egocentryczna i często nie potrafię wygospodarować chwili na spotkanie z Nią. Właśnie udział w takim konkursie jak ten pozwala budować most między pokoleniami, zbliża nas do tych, dla których często jesteśmy najukochańszymi wnuczkami, wyzwala wspólne emocje. Dlatego kiedy babcia opowiada mi o tym jak żyła, z czym musiała się zmagać i jak mało miała w życiu przyjemności, uświadamiam sobie jak szczęśliwą osobą

jestem. Nie potrafię tego docenić na co dzień, mało co mnie zadowala, jestem typową osobą, którą konsumpcjonizm złapał w swoje sidła i ciągle mi mało. Staram się z tym walczyć jak mogę, a takie chwilowe zatrzymanie się i przemyślenie wszystkiego jest naprawdę zbawienne. Moja babcia twierdzi, że teraz niczego jej nie brakuje. Możliwość spędzenia czasu z babcią, kiedy ona opowiada mi historie z zamierzchłych dla mnie lat, jest naprawdę bezcenna. Żadne pieniądze nie są w stanie zastąpić tego, co daje wysłuchanie tych wszystkich wspomnień – nie tylko z czasów wojny, ale także tych po niej. Wtedy żałuję tylko jednego, że nie mogę porozmawiać o tym z moimi dziadkami, że nie mogę porozmawiać o tym z moją drugą babcią. Takie momenty, gdy człowiek uświadamia sobie, ile dostał od innych, nie dając od siebie nic, czyli rodziców, dom, babcię, spokój sprawiają, że chociaż przez chwilę można dostrzec swoje szczęście i nie chcieć więcej i więcej.

Każdy ma własne ideały, ale patrząc na ludzi podczas wojny, na to, jak potrafili sobie pomagać, jak potrafili się zjednoczyć i wspólnie walczyć o kraj, o ojczyznę, zastanawiam się nad tym, jak oni to robili. W jaki sposób znajdowali na to siły. Gdyby nie pokolenie naszych dziadków prawdopodobnie nie żylibyśmy w wolnym kraju, dlatego ciężko mi patrzeć na naród, który sam się zatracą w hołdowaniu marności, w bezwartościowym egzystowaniu, który potrafi obchodzić tylko święta związane z naszymi kląskami, porażkami i przegranymi.

Nie mogę odpowiadać za wszystkich, nie mogę odpowiadać za nikogo poza sobą. Albert Schweitzer powiedział - *To, co możesz uczynić jest tylko maleńką kroplą w ogromie oceanu, ale jest właśnie tym, co nadaje znaczenie twojemu życiu.* Więc dlatego, mówię tylko za siebie, nigdy nie zapomnę o trudzie, jaki włożyli nasi dziadkowie i rodzice w to, abyśmy teraz żyli bezpiecznie i spokojnie i... mam cichą nadzieję, że nie tylko ja jedna tak myślę, ba, jestem przekonana, że wiele osób zna wartość pracy wcześniejszych pokoleń i nie utraci z łatwością tego, co od nich dostaliśmy oraz będzie starało się robić wszystko co

w naszej mocy, by ocalić to, co już mamy.

Pracę dedykuję moim zmarłym dziadkom – Franciszkowi i Janowi, babci Stanisławie oraz oczywiście babci Kazimierze, bez której by ona nie powstała.